

A black and white photograph of four people standing in a row, framed by a film strip border. From left to right: a young woman in a light-colored dress, a man in a dark jacket and tie, a woman in a patterned dress and necklace, and a man in a dark suit and tie holding a hat. The background is a simple, slightly blurred interior.

KONWICKI

SALTO

i inne scenariusze filmowe

Tadeusz Konwicki

SALTO I INNE SCENARIUSZE FILMOWE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68384-49-9

Projekt okładki: Olga Bołdok

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2025)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2025)

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Spis treści

Salto

Zaduszki

Zimowy zmierzch

Matura

Ostatni dzień lata

Salto

Rozdział 1

Patrzył w zatarty pędem stok odkosu i mocował się ze strachem. Nagle czarne struny linii telefonicznej skoczyły w dół ku rozmigotanej powierzchni żyta. Wtedy otworzył drzwi. Nie puszczając klamki obejrzał się raptownie za siebie, w głąb wagonu. Potem zaczerpnął powietrza, uczynił wolną dłonią niezdecydowany znak ni to krzyża świętego, ni to pożegnania, i całą siłą odbił się z lewej nogi.

Poleciał w gorącą przepaść wypełnioną przeraźliwym łomotem żelastwa. Uderzył boki o strome zbocze skarpy, próbował chwycić palcami wysoki krzak ostu i potoczył się w dół z szeroko rozkrzyżowanymi ramionami jak narciarz.

Powoli wracała cisza. Ostrożnie ruszył najpierw jedną nogą, potem drugą. Uniósł dłoń i dotknął mokrego ucha. Z lękiem otworzył powieki, spojrzał na palce. To nie była krew, ale gęsty szlam. Dopiero teraz spostrzegł, że leży na wąskiej ścieżce, w wysychającej kałuży.

Otrząsnął się, poprawił kołnierz koszuli. Ruszył przed siebie ścieżką w stronę olszniaku, który z lewej strony zagradzał żytni łąn.

Rzeczka była nie szeroka i czarna, płynęła bezgłośnie pomiędzy olszynami. Zatrzymał się na jej grząskim brzegu. Patrzył bezmyślnie w wodę otrzepując ubranie. Odezwała się lokomotywa. Daleki, jękliwy gwizd wymotał się spomiędzy lasu i zwielokrotniony echem przybiegł aż tu, nad rzekę.

Mężczyzna obejrzał się niespokojnie. Potem zanurzył obutą stopę w ciemnej wodzie, jakby próbując czy zimna. Wskoczył raptownie do rzeczki, jął przedzierać się rozpaczliwie ku przeciwległemu brzegowi.

Wtedy gdzieś obok, za płytkim zakosem rzeki, ktoś krzyknął histerycznie, zakotłowała się woda młócona czyimiś rękami. Mężczyzna wydostał się na drugi brzeg i ostrożnie wyjrzał z zarośli. Dwie dziewczyny uciekały w płytkiej wodzie. Upuszczony ręcznik płynął środkiem rzeczki, okręcany leniwymi wirami.

Krzyczały tak przeraźliwie, że jął uciekać na oślep polem żółtego zboża. Biegł bardzo długo, aż nagle spostrzegł, że z pobliskich chałup wysuwają się jacyś ludzie. Zatrzymał się dysząc ciężko. Któryś z chłopów podniósł pięść i zaczął wygrażać. Inny schylił się szukając kamienia.

Więc zaczął znowu biec. Miedzą porośłą krzakami dzikich malin, potem piaszczystą drogą z kadłubami wierzbowych pni. Wreszcie zatrzymał się na szczycie obłego wzgórza.

Pod nim leżało miasteczko. Pomiedzy ciasno stłoczone domy wciekał powoli mrok. Niektóre okna mżyły już wątlým światłem elektrycznym. Odezwał się dzwon witający noc.

Zaczął schodzić ostrożnie, spięty niepokojem. Przedzierał się przez gęste żyto, szukając w nim schronienia. Kiedy wstąpił między pierwsze zabudowania, nagle spod płotu skoczył pies z zajadłym ujadaniem. Mężczyzna znowu porwał się do ucieczki, lecz służbisty kundel już go schwytał za nogę, już szamotał się z mokrą nogawką. Ale wtedy szcękneły gdzieś drzwi i ktoś odezwał się w mroku:

– Kto tam?

Pies ucichł. Z kawałkiem nogawki w zębach jął czołgać się pokornie w tę stronę, skąd dochodził głos gospodarza.

– Kogo tam licho nosi?

Mężczyzna przylgnął do płotu wstrzymując oddech. Za krzakami jaśminu widział okno z przezroczystą firanką. Przy stole siedziała dziewczyna czytając książkę. Młody człowiek w monotonnym spacerze krążył wokół stołu. Za każdym razem, kiedy mijał dziewczynę, całował ją, a ona, nie przerywając lektury, podstawiała mu policzek.

Stuknęły zamykane drzwi. Mężczyzna ruszył ostrożnie ciasną uliczką. W następnym domu samotna kobieta kładła pasjansa, podglądając bezwstydnie karty. W innym oknie stary człowiek ostrzył brzytwę na rzemieniu. Podczas tej miarowej czynności zanosił się raptownym kaszlem, a potem przybliżał ostrze do światła, badał chwilę jego ostrość, następnie przysuwał do chudego nadgarstka jakby z zamiarem ścięcia siwego włosa.

Wtedy nagle ktoś wyszedł z poprzecznej uliczki. Mężczyzna chciał skryć się w nie domkniętej furtce, lecz nie oliwione zawiasy skrzypnęły żałośnie. Przechodzień zatrzymał się w półmroku, chwilę nasłuchiwał z pochyloną głową, a potem nagle zawrócił i jął uciekać środkiem uliczki.

Mężczyzna odprowadził wzrokiem uciekiniera, następnie przebiegł skulony przez drogę i kucnął przy krzywym, próchniejącym płocie. Odliczył siedem sztachet od słupka i pociągnął za deskę. Ustąpiła bez oporu. Więc przelażł przez dziurę, wszedł w zapuszczony, porośły wysokim zielskiem ogród pełen jazgotu świerszczy.

Czułnie, na palcach, podkraść się do ciemnego okna wielkiego domu, pozlepianego z przeróżnych nieforemnych przybudówek. Jeszcze raz rozejrzał się ostrożnie dokoła i powstrzymując śpieszny oddech wspiał się na palce. Chwilę patrzył na okno z resztką łuny zachodniej, a potem nagle zastukał w szybę.

– Kto tam? – spytał ktoś z wnętrza.

– Proszę otworzyć. To ja – odpowiedział przyciszonym szeptem mężczyzna.

– Co za ja?

– Swój. Proszę szybko otworzyć.

Szczęknęły drzwi sieni. Mężczyzna szybko wcisnął się w szczelinę. Chwilę mocowali się przy wejściu.

– To ja. Nie poznaje pan, jak Boga kocham – szepnął mężczyzna. – Niech pan wpuści.

Weszli do izby i gospodarz przekręcił kontakt. Zabłyśło światło. W tym momencie mężczyzna podskoczył do okna, zasunął w pośpiechu firankę, później oparł się plecami o ramę okienną.

– Naprawdę nie może mnie pan sobie przypomnieć? – spytał zmęczonym głosem.

Gospodarz, siwawy mężczyzna z wielkimi, przejmującymi oczami, wpatrywał się z natężeniem. Pokręcił głową bezradnie.

– Nie. Chyba nie.

– Ja tu niegdyś mieszkalem.

– Kiedy?

– Bardzo dawno. Pan wie, kiedy.

– A pana godność, można wiedzieć?

Mężczyzna rozejrzał się bacznie dokoła.

– Dla pana Kowalski, a dla innych Malinowski, rozumie pan?

– Kowalski, Kowalski – jął przypominać gospodarz.

– Cśś – przerwał mu mężczyzna. – Ani słowa. Ja tu mieszkalem, w tym domu.

– Nic nie pamiętam – westchnął gospodarz. – Ogłuszyło mnie, wie pan? Taki granat rozerwał się nad głową. Lepiej nie wspominać.

Kowalski podszedł do gospodarza i ujął go za klapy marynarki.

– Mnie ścigają. Uciekam cały dzień. Ledwie tu trafiłem.

– Kto?

– Później panu opowiem. Boże jedyny, co ja przeżyłem – puścił gospodarza i schwycił się za głowę. – Żeby pan mógł wiedzieć, co ja przeżyłem.

Nagle spojrzał uważnie na gospodarza, ponownie wczepił się w jego marynarkę.

– Proszę się nie bać. To czysta sprawa. Cierpię za innych. Nie, to nieprawda. Cierpię za swoją naiwność, za swoją wiarę w ludzi, za serce. Ach, Boże jedyny, nikt nie słyszał, jak tu wszedłem?

– Nnie, nie, nie wiem – powiedział ze strachem gospodarz.

– Wszystko wyjaśnię, ale nie teraz. To czysty cud, że pan mnie widzi. Boże jedyny, co ja musiałem znieść. Ale może pana razi, że ja ciągle z Bogiem?

– Ależ proszę, bardzo proszę – szczęknął zębami rozdygotany gospodarz.

Kowalski popatrzył przeciągle.

– Bo wie pan, różnie bywa. Ludzie się zmieniają. Pan mnie sobie nie przypomina?

– Nie wiem, może, jakbym gdzieś widział. Twarz znajoma – bąkał gospodarz. – Mało to ludzi spotyka się w życiu. Taka wojna.

– A ja właśnie panu życie uratowałem. No, ale o tym nie mówmy. Nazywam się Malinowski, koniec, kropka, amen. Tu na górze jest pokoik. Pamiętam, ach Boże jedyny, jak dobrze pamiętam. Wolny?

– Stare gruchoty trzymam, nie wysprzątany.

– Głupstwo. Teraz to nieważne. Proszę pokazać.

Pchnął gospodarza ku schodom szerniałym od starości.

– No tak, tak, oczywiście – mówił gorączkowo. – Ileż to razy śniłem. Każdy stopień, każdy balasek. A tu po latach wszystko takie małe, wąskie, ciasne, jak w pokoju dzieciennym. Weszli na piętro. Gospodarz chciał przekręcić kontakt.

– Nie trzeba, wiem – uprzedził go Kowalski. – Na prawo, prawda?

Otworzył drzwi, zapalił światło i nagle runął na kolana w progu izby zawałonej gratami. Schylił głowę nisko, prawie do ziemi, trwał tak długą chwilę. Mogło się zdawać, że jego plecami ledwo widocznie wstrząsa powstrzymywany szloch.

– A kto pan jest? – spytał nagle gospodarz ze strachem.

Kowalski wolno odwrócił w jego stronę twarz ściętą cierpieniem.

– Mam blizny na całym ciele. Raz przy razie – jął rozpinać marynarkę, podciągnął nawet koszulę, ale rychło zapomniał o rozpoczętej czynności. – Skóra jakby z rusztu zdjęta. Może już lepsza byłaby śmierć niż takie życie? Niech pan tylko uważa. Nikomu ani słowa. Gdyby coś, pan zapuka trzy razy. Żywego mnie nie wezmą.

Ukrył twarz w dłoniach i wyglądało, że zupełnie zapomniał o cudzej obecności. Potem nagle odjął ręce. Uspokojony, ze smutnym uśmiechem, rzekł cicho:

– Niech pan idzie. Proszę spać spokojnie. Taki to los.

Gospodarz jednak marudził przy drzwiach, wzdychając niepewnie. Więc Kowalski podniósł się z kolan i delikatnie wypchnął natręta za drzwi.

– Już dobrze, dobrze. Każdy musi sam swoje przetrwać. Pan mi nic nie pomoże. Jedna noc bezsenna więcej, jedna mniej, co za różnica.

Zatrzasnął drzwi i oparł się plecami o futrynę. Westchnął przymykając oczy. Potem otrząsnął raptownie, pomyszkował wśród rupieci, zdjął marynarkę, strzepnął nią kurz ze starej kozetki i z ciężkim jękiem upadł na to ubogie posłanie, okrywając się kurtką.

Leżał tak i patrzył intensywnie na drzwi koślawe, które powoli, zdawało mu się, poczęły rosnąć, przybliżać, czerniejąc jednocześnie jakby w zapadającym gwałtownie mroku. Potem drgnęła klamka ruszona czyjąś dłonią, potem skrzypnęła któraś z desek, wreszcie drzwi ledwo dostrzegalnie jęły się otwierać, ukazując czarną przepaść korytarza. W końcu rozwarły się na całą szerokość. Chwilę kolebały się pojękując cicho w zawiasach i wtedy zapłonęło jaskrawe, oślepiające światło latarki, skierowane na Kowalskiego. Oślonił więc twarz dłońmi, poprzez rozcapierzone palce wpatrzył się pilnie w ciemność, która wolno rzedła. Dostrzegł najpierw zarysy trzech postaci męskich, później ich niedzisiejsze ubrania i rzemienne pasy oraz automaty przewieszane przez ramie. Jeden z nich, ten w środku, skierował światło latarki na białą kartkę, którą trzymał w lewej dłoni. Odbita jasność oświetliła ich twarze od dołu. Ci dwaj, co stali na bokach, unieśli automaty, zarepetowali je, a ten środkowy zaczął czytać bezgłośnie jakiś tekst niezrozumiały. Jego kompani jęli zbliżać się w sennym stąpieniu do kozetki. Kiedy wreszcie pochylili się nad nim i dostrzegł błyski światła

w białkach ich oczu, krzyknął jak nurek, co resztką sił wydostaje się z topieli i nagle zaczął rozpaczliwie szukać koło siebie gruszki wyłącznika elektrycznego.

Zapłonęło równomierne, bure światło elektryczne. Wtedy Kowalski spostrzegł raptownie, że jest sam, że koślawe drzwi są zamknięte. Więc porwał się z kozetki i skoczył na środek pokoju. Zaczął szamotać się jakby w ataku duszności, czepiał się nagich ścian, szukając tlenu. Bliski uduszenia trafił wreszcie na okno, szarpnął je z taką siłą, że otwarta gwałtownie połówka strzeliła o futrynę. Chłodne szkło rozsypało się na ziemi, a do otworu okiennego wdarły się rozhuśtane gałęzie drzewa.

Wtedy posłyszał stłumione śpiewanie kobiece. Zaczął się uspokajać dysząc łapczywie. Otarł pot z czoła, twarzy i szyi. Wytarł mokre dłonie.

Ruszył do drzwi. W korytarzu było ciemno, ale na dole, w pokoju, coś się świeciło. Więc zaczął zstępować wolno po schodach. Lecz wtedy śpiew umilkł. Zatrzymał się w połowie drogi. Ktoś szedł w dole skryty gabarytem schodów.

To był gospodarz. Zaświecił lampą w stronę poddasza.

– Pan krzyczał? – spytał.

– Niech pan zgasi – powiedział zduszonym głosem Kowalski. Gospodarz bez słowa spełnił jego życzenie.

Wtedy Kowalski zszedł szybko na dół, ujął jego dłoń i pocałował ją chłopskim obyczajem.

– Ja się boję – rzekł. – Po prostu duszę się ze strachu.

– Czego się pan boi? Ludzi, wojny albo może śmierci?

– Nie wiem. Sam nie wiem. Żeby coś było pod ręką, skończyłbym ze sobą. Niech mi pan wybaczy. Wszystko, co powiedziałem, to nieprawda. Nazywam się inaczej, inaczej też wyszło w życiu.

Gospodarz wziął go za ramię, poprowadził do okna. Rozsunął firankę. Daleko, nad horyzontem, pulsowało wysokie półkole łuny, jak zorza polarna.

– Tam, ludzie pracują – powiedział. – Cały czas, bez sekundy przerwy, i w dzień, i w noc, i w powszedniość, i w święto. Może będzie panu lżej.

– Ale mnie schwyciło – rzekł Kowalski. – Da pan wiarę? Zawsze byłem najnormalniejszy. I wzrost przeciętny, i tusza regularna. Nawet te okulary to tak, wie pan, żeby zaciej wyglądać, bo wzrok mam prawidłowy. Tak raptem ścisnęło, Boże jedyny. Ale pan nie zrozumie, samemu trzeba przeżyć.

– Ja też nie śpię w nocy. Dwadzieścia lat. Dopiero o pierwszym brzasku przymknę czasem powieki jak zając.

Kowalski przypatrywali mu się z natężeniem.

– Wywdzięczę się panu – rzekł wreszcie cicho. – Ja tu mam coś schowane. Może pan zostawić światło na noc?

– Mogę, czemu nie.

Wchodził wolno po stopniach. Nagle odwrócił się i spytał po chwili wahania:

– Jestem śmieszny, prawda?

Gospodarz zapalił latarkę, poszukał go światłem.

– Nie mnie sądzić.

Kowalski czekał długo na jakieś dobre słowo, na pocieszenie, ale gospodarz stał nieruchomo i milczał.

– Ty głupi, trawożerny palancie – rzekł cicho Kowalski i wstąpił w ciemny korytarz.

Otworzył ostrożnie drzwi swego pokoju. Było pusto. Liściasta gałąź czochrała się o parapet. Zaczął więc chodzić monotonna po tej rupieciarni, patrząc z lękiem na okno, spaczone drzwi i ściany z bliznami po zdjętych dawno obrazach.

Rozdział 2

Szła ogrodem wśród wysokich chwastów jak po lesie prześwietlonym przez słońce. Odrobinę przygarbiona, infantylna a zarazem jakby skrywająca zapowiedź przedwczesnej starości, piękna i niebezpiecznie bliska brzydoty, ogromnie świeża, a już skażona nieuleczalnym cierpieniem. Daleko w tyle, chyba za płotem, pomiędzy umaczanymi w blasku czubami badyli, tkwiła nieruchomo ciemna sylwetka mężczyzny.

– Pani Mario – powiedział cicho Kowalski.

Wtedy ona stanęła i podniosła oczy.

– Wróciłem, pani Mario – powtórzył.

Patrzyła na niego kolebiąc przecząco głową.

– Kto panią odprowadził?

Odwrociła się szybko i spojrzała w stronę płotu. Ale tam już nikogo nie było.

– Ja jestem córką Marii – powiedziała.

Szedł wolno w jej stronę, aż zatrzymał się tuż przed nią.

– Córką Marii. Jaki ja jestem stary.

Zasłonił się przed nią plecami i milczał. Ona dotknęła ostrożnie jego ramienia.

– To pan przyszedł do nas wieczorem?

Odwrocił się do niej patrząc w twardą jak klepisko ścieżkę, zapytał naraz:

– Czy pani ma krepe?

– Krepe?

– Tak, albo czarną wstążkę, kawałek czarnego materiału.

Zaczął bardzo wolno odchodzić w stronę domu. Ona stała przejęta współczuciem.

– Żona i dziecko zginęły wczoraj w wypadku samochodowym – rzekł z trudem i omackiem złapał w dłoń schnącą makówkę, rozduśił ją całą siłą, aż chrupnęła boleśnie.

Dziewczyna ruszyła za nim w milczeniu. Weszli na ganek. On, jakby oślepiony bólem, uderzył głową w futrynę drzwi. Instynktownie chwyciła go za rękę. Lecz nie dostrzegł tego gestu. Wtoczył się ciężko do pokoju, co spełniał rolę hallu.

Gospodarz, który wycinał fragment gazety, spojrzał w ich stronę. Patrzył, jak prowadziła przybysza w kierunku białych drzwi.

– Pan już odchodzi? – spytał.

Kowalski stanął wpół kroku.

– Ja? Czy odchodzę? – namyślał się chwilę. – Dobrze. Pojadę dalej.

– Ależ tato... – szepnęła dziewczyna.

– Proszę się nie litować. Tylko bez tego – szarpnął się Kowalski. – Mam swoją godność. Jałmużny nie potrzebuję.

– Tato – szepnęła prosząco dziewczyna.

Gospodarz wstał od stołu i podszedł do Kowalskiego, który mocował się z drżeniem ust.

– Oczywiście, oczywiście. Może pan zostać u nas, ile zechce.

– Widzi pan – rzekł trochę udobruchany Kowalski – nie zawsze chodziłem po prośbie. Były też inne czasy. Czy można pożyczyć łopaty?

– Stoi koło ganku.

– Ja się wywdzięczę.

– Tu jeden taki przyjdzie do pana.

– Kto?

– On mówi, że pamięta. Z dawnych lat. Przechowywał się w naszym miasteczku.

– Kiedy przyjdzie?

– Nie wiem. Mówił tylko, że przyjdzie.

Kowalski chwilę wahał się, a potem rzekł.

– Jestem zupełnie rozbity, Boże jedyny. Co się ze mną dzieje? Ale czy to pana obchodzi, czy to kogoś może obchodzić. W każdym razie dziękuję za wszystko.

I wyciągnął rękę do gospodarza. Potem ruszył ciężko do tych białych drzwi, otworzył je. W jasnym, pustawym pokoju kolebał się wytarty fotel na biegunach.

– Długo czas byłam bardzo chora – powiedziała dziewczyna. – Ten fotel to moje łóżko, mój dom.

Wtedy dopiero spostrzegł wielką ilość obrazków na ścianach. Zimowe zachody słońca z sinymi smugami lasów, rozdarte, czerwone sosny, stawy z łabędziami, toporne scenki myśliwskie. Ogromny wysilek naiwnej wyobraźni.

– Tu mieszkała pani matka, prawda?

– Ja nie pamiętam. Urodziłam się w lesie, w bunkrze. Pod koniec wojny w naszym miasteczku nikt nie mieszkał.

– Wiem. Gdzie oni leżą?

Przyprowadziła go do okna.

– Tam za rzeką. Widać krzyż.

Milczał.

– Przyjeżdżał tu rzeźbiarz zagraniczny. Wystawiał kamienny pomnik zabitym.

– To pani wieczorem śpiewała?

Otworzyła drewnianą szkatułkę. Spomiędzy guzików i koronek wydobyła czarną wstążkę, igłę z nitką. Objęła znamię żałoby jego ramię i zaczęła przyszywać brzegi wstążki do sukna marynarki.

– Mario – szepnął raptem.

Wtedy ona schyliła głowę, żeby odgryźć nitkę, a on przytulił się do niej.

Ktoś zagwizdał z ulicy fragment znanej skądś melodii. Dziewczyna drgnęła i odtąd czuł jej skrywane drżenie.

– Jestem Helena, córka Marii.

Odszedł na środek pokoju, zaczął bujać starym fotelem.

– Niech pani idzie. Wołają – powiedział.

Wybiegła skwapliwie, jakoś ukosem, przygarbiona, jakby chcąc skryć się przed jego spojrzeniem. Widział, jak pędziła rozświetlonym ogrodem, jak dopadła płotu. Pchnął fotel, który dojechał do ściany i z monotonnym łoskotem chwiał się jednostajnie.

Słońce stało pośrodku czystego nieba. Wielkie słoneczniki wygrzewały się w jego cieple. Ogromne jabłka zwisały ciężko z drzew i pachniało dosytem, urodzajem.

Wziął ukradkiem łopatę i kryjąc się pomiędzy pniami zaczął wchodzić w głąb zapuszczonego sadu. Przedzierał się tak wśród zdziczałych malin, zarosłych powojem krzaków porzeczek, aż zobaczył wreszcie wyschnięte drzewo. Do spękanej, grubej kory przybita była kapliczka, rozmyta przez deszcze, spłowiała od słońca, zwichrowana przez wiatry jesienne.

Obszedł uważnie to drzewo, spojrzał na słońce, a potem jął stopami wymierzać odległość we wschodnią stronę ogrodu. Naliczył siedem stóp, przystanął, wbił łopatę we włochatą darni i jeszcze raz rozejrzał się ostrożnie.

Spostrzegł wtedy w gęstwie zieleni dwie pary oczu. Patrzyły na niego bez mrugania powiek i wyglądało to, jakby dwa kocury zaczęły się wśród krzaków.

– A sio! – krzyknął. – A kysz!

Lecz wytrzeszczone oczy nie zniknęły. Więc podniósł z ziemi nadgniłe jabłko i cisnął w zarośla. Widocznie nie trafił, gdyż jabłko załomotało wśród gałęzi, ucichło. Znalazł zatem większe i rzucił celniej.

– Auu! – ktoś wrzasnęła.

Zaszeleściły liście, rozległ się tętent bosych stóp i znowu było cicho. Podeszedł do zarośli, spojrzał na drugą stronę. Nikogo tu już nie było. W oddali, w sąsiednim ogrodzie, stał

stary mężczyzna z powrozem w rękach. Patrzył na Kowalskiego, zastygły w bezruchu. Potem wolno podniósł ręce, przerzucił sznur przez wygiętą gałąź jabłoni i zaczął wiązać pętlę.

– Ej, człowieku!... – krzyknął Kowalski.

– On tak wszystkich straszy – powiedział ktoś za nim.

Kowalski odwrócił się. Gospodarz uśmiechał się wyrozumiale, oparty plecami o drzewo.

– Pana zobaczył i od razu próbuje sztuczek.

– Nie wolno się z tego śmiać – rzekł surowo Kowalski.

– On, panie, wszystkich przeżyje. Generalnie. Niech pan popatrzy.

Spojrzeli obaj w tamtą stronę. Stary człowiek uciekał w stronę domu płacząc się powrozie, którego końce chwycił zębami wyliniały pies.

– Nie widział pan Heleny? – spytał gospodarz.

– Poszła. Ktoś ją wołał.

Zaczął szybko odchodzić. Gdzieś w głębi sadu krzyknął ochrypłym głosem:

– Hela!

Potem to „Hela” oddalało się coraz bardziej w stronę rzeki. Kowalski wrócił pod drzewo i odnalazszy łopatę zaczął kopać niewielki dół. Ostrożnie rozsypywał piasek szukając w nim czegoś pilnie. Rychło łopata trafiła na jakiś opór, jej ostra krawędź zazgrzytała boleśnie. Kowalski kucnął skwapliwie w dole, nerwowo jął wygrzebywać palcami obrosły rdzą podłużny przedmiot. Wreszcie wyciągnął trzęsącymi się rękami coś na kształt rury. Obstukał ją pieczołowicie z rdzy i piasku, lecz nie znalazłszy widocznie tego, czego szukał, odrzucił daleko pomiędzy drzewa niepotrzebne żelastwo. Wtedy nagle tam, wśród starych jabłoni, rozstąpiła się ziemia, trysnęło ogniem i posypały się jabłka jak deszcz. Kowalski upadł na piasek i czekał, aż przestaną opadać grudki ziemi i liście. Potem odwrócił się i patrzył z bezmyślnym zdumieniem na spory lej w skotłowanej trawie.

– Bażant! – ktoś zawołał obok.

Kowalski otrząsnął się z ziemi.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI